

Wolność

(historia nr 1.20 w serii książek Aimeiz, aimeiz.pl)

Sidday stał na szczycie zdobytego z trudem wzniesienia i próbował objąć spojrzeniem ogromny, zlewający się z pułapem chmur, obłok pyłu, który całkowicie przykrywał budynki i tarasy hali, gdzie jeszcze wczoraj pracował. Ściana brązowo-szarej rozedrganej materii, rozświetlana brudnymi błękitnymi pasmami stłamszonego światła, sunęła ociężale, jak gigantyczna kurtyna, w kierunku miniaturowego przy niej miasta Tynan. Sidday wiedział, że nie powinien się zbliżać do tej ogromnej piaskowej burzy, która cicho pomrukuje, niosła lęk i zniszczenie wszystkiemu na swojej drodze. Słyszał o radioaktywności i efektach jej działania, choć nie na szkoleniach w przysposobieniówce, ale od starszych robotników i kolegów, teraz zamienionych w pył jednym wybuchem. Sam ocalał, bo rankiem postanowił znów czmychnąć z hali i zrobić pieszą wycieczkę do miasta Drez, by odetchnąć spokojem i nasycić się ciszą.

– Co teraz? – westchnął głośno. Nie miał ze sobą nic do jedzenia ani picia, a wszystkie jego rzeczy, w tym ulubione drewniane pudełko szachów, spłonęły w ogniu eksplozji. Nie mógł wiedzieć, co było jej przyczyną, ale domyślał się, że tylko Tyranit jest w stanie wznieść w kilka sekund skłębiony filar szarej, ognistej masy do samego nieba. Poza kilkoma próbami testowych wybuchów nikt nigdy nie przebadał prawdziwego potencjału tego energochłonnego materiału. Jego złowroga moc była ludzom obca i jedynie teorie mówiące o łamiącej prawa fizyki niszczycielskiej sile Tyranitu pobrzmiwały w głowach najzaciejszych naukowców. Błękitne pasy brudnego światła o podłużnych, wijących się kształtach pokrywały pionowe ściany tych piekielnych wrót i wyglądały jak latające bestie, które w natłoku tarły o granice swojego terytorium niczym węże ściśnięte w szklanym terrarium innego wymiaru.

Sidday stał beczynnym, zawieszony w ciszy, wpatrzony w ścianę pyłu, która pochłonęła kilka tysięcy ludzi, w tym jego jedyne przyjaciela, Henry'ego. Nie mógł nic zrobić, był bezsilny, jak wszyscy mieszkańcy miasta Drez. Piekło miało wkrótce pożreć ich strzeżone wysokimi płotami okoliczne sady i pola, a potem wessać cały dobytek i na końcu zabrać im życie. Z chaotyczną krzątaniną mieszkańców, przypominających z oddali wzburzone, acz ciche w swej tragedii mrowisko, kontrastował spokój chłopaka. Ciepłe promienie masowały mu plecy, a wiatr szumiał w uszach, powtarzając szeptem *nic się nie stało, nic się nie stało*. Dopiero burczenie w brzuchu wyrwało go z letargu bezradności i zmusiło, by zejść do miasta drogą prowadzącą obok sadów pełnych błyskających w powietrzu owoców. Strzegły ich zautomatyzowane wieże strzelnicze, przeciwpancerne słupy, podpięte pod prąd płoty i setki kamer, gotowe w kilka sekund przygnać ciężarówkę wypchane po brzegi żołnierzami DARPA.

Sidday krążył po porzuconych obrzeżach Drez. Był głodny, ale niechętny, by przekraczać granicę hałaśliwych ulic, które natłokiem wydarzeń, rozmów, dźwięków odrzucały go, jak lodowata woda u brzegu jeziora. Nie chciał wchodzić w głąb tej spanikowanej społeczności, zanurzać się całym ciałem w trawiącym ich koszarze utraconej hali będącej dla okolicznych miejscowości jedynym źródłem utrzymania. Bez produkcji okrętów rejon przestawał mieć dla Wielkiego Planu jakiegokolwiek znaczenie. Nikt nie wątpił, że po katastrofie rządowe dostawy chemikaliów potrzebnych do ochrony upraw przed radiacją Słońca skończą się, zamieniając Drez w kolejne zdegradowane rumowisko na postapokaliptycznym pustkowiu.

Kto miał własne auto, a takich było niewiele, wyjechał już dawno, reszta zaś walczyła o miejsca w rozsypujących się busach lokalnych kierowców, samozwańczo organizujących transport między okolicznymi miejscowościami. Nie istniały inne środki transportu, poza koleją całkowicie kontrolowaną przez władze i wykorzystywaną tylko na rzecz budowy Floty lub obsługi sił DARPA. W gruncie rzeczy małe miasteczka, takie jak Drez, odtwarzały życie sprzed kilkuset lat, tworząc samodzielne, zamknięte społeczności skupione na zaopatrywaniu hal niemal na zasadach pańszczyzny.

Robiło się ciemno, ale to nie noc w obcym miejscu przerażała Siddaya, ale fakt, że rano wstanie bardzo głodny i nie będzie miał czego wymienić na żywność. Zmęczony chodzeniem i palącym Słońcem w końcu znalazł sobie miejsce w jednym z porzuconych domów dawno temu wypędzonej klasy średniej. Wyrwane okna i wyważone nienawiścią tłumów drzwi zapraszały do kompletnie ogołoconego wnętrza, gdzie poza osłoną przed gołym niebem budynek nic nie oferował. Chłopak

obszedł ruinę i znalazł metalowe wiadro z odrobiną wody. Wziął łyk, niemal mdlejąc od gęstej woni smrodu i zgnilizny, a potem położył się na podłodze przy jeszcze stabilnie stojącej ścianie i czekał z utęsknieniem na sen.

Nie mógł jednak zmrzyć oka, bo myśli, jak maszyny w hali, łoskotem trzymały jego świadomość w uścisku obaw. Nie potrafił uciec od obrazów potwornej kolumny dymu niczym stopy stratosferycznego giganta skradającego się gdzieś na horyzoncie. Wraz z rosnącym głodem jego senne rozważania zaprowadziły go do pytania o to, czy kradzież jedzenia w walce o własne przetrwanie jest sprawiedliwa. Nigdy wcześniej nie myślał w ten sposób, tak filozoficznie, budując argumenty i szukając nietykalnej bariery wiecznej etyki. Nawet gdyby chciał, to nie mógłby, bo brakowało mu odpowiednio rozwiniętego języka. Oprócz mechanicznej terminologii i podstawowych komend w przysposobieniowce nie uczyli niczego więcej. Tylko dzięki rozmowom z Henrym potrafił nazwać to piekące uczucie z tyłu głowy, rozchodzące się promieniście ciepłem po całym ciele, które rozładowywał całodniowymi ucieczkami z hali. Zanim zabrał go sen, Sidday wymamrotał dumnie na głos: – Nie gnieram kucy, ale obto pielic.

Obudził się głodny z ogromnym pragnieniem, by włożyć cokolwiek do ust. Wczoraj rozmyślał tylko o kradzieży, dziś już ją planował. Był gotowy zrobić wszystko, by zjeść i zaspokoić to okropne wrażenie skręcania w brzuchu, do którego dołączyły koszarne bóle pleców i barku spowodowane niewygodną pozycją, w jakiej spał. Z kwaśną miną, na głos jęcząc i strzelając mięśniami, zajrzał do metalowego wiadra, by sprawdzić, czy przez noc nie pojawiła się w nim świeża woda. Pojemnik był pusty. Ruszył więc w stronę centrum miasta z pęczniejącym w brzuchu postanowieniem, że jeśli będzie miał okazję, ukradnie jedzenie.

Zbierając odwagę, wędrował główną ulicą Drez i obserwował zdeformowane chałupniczymi naprawami budynki. Wyglądał jak leniwy turysta w mieście, gdzie wciąż panika rządziła umysłami mieszkańców, którzy choć chcieli, to nie mogli uciec. Na szczęście śmiercionośna chmura naźarła się sąsiednią miejscowością i zwolniła, odkładając Drez na później. Dwa donośne głosy zwróciły uwagę chłopaka.

– Drugi dzień idzie i nikt nie przyjechał. Zostawili nas! – skomliła starsza kobieta oparta o ogrodzenie swojego ogrodu. Stała obok rzędu doniczek z ziemią. Nic z nich nie wyrastało.

– Pewnie straszą się promieniowania – odpowiedziała jej sąsiadka po zewnętrznej stronie płotu. Obie były brudne od pracy na polu i ubrane w pozszywane z przypadkowych materiałów kombinezony.

– A ty co myślisz, bezpiecznie jest?

– Nie wiem, nie znam się, dlatego z mężem jedziemy. Czekamy tylko, aż busa pojeżdżą. Dziś nie ma, ale jutro sąsiad mówił mają zwieźć.

– Ja nie mogę, bo co z polem zrobię?

– Kochana, jak ci to pole napromieniowało, to nic ci z niego.

– Ale te opary stają nad Tynan i już nie tak gęsto są. Może do nas nie doleczą, co? – dopytywała się z nadzieją kobieta zza płotu.

– Ja to bym się straszyla tym, czego oczom nie widać – odpowiedziała druga z nich, budując głosem groźbę. – Straszą, że od tego gały krwią się leją i z uszu cieknie flama. Mąż gadał mi, co widział za polem, jak tam ludzie leżeli. Wszystko we krwi było, wszystko złane flamą! – mówiąc to, wpadła w atak kaszlu, który jak obraz wymienionych straszności wybałuszył oczy pierwszej z rozmówczyń, nagle prostując ją jak na alarm i zawracając do domu, gdzie trzasnęła za sobą drzwiami.

Sidday także nie miał ochoty wysłuchiwać tych okropności, zwłaszcza na pusty żołądek. Ruszył dalej, szurając stopami po zakurzonej ulicy, wypatrując już tylko jedzenia. Dotarł do jednej z bocznych uliczek, gdzie w chwili zwątpienia urzekł go piękny oczom widok. Dwa kosze, wypełnione owocami i warzywami, stały na chodniku pilnowane przez małego, na oko dwunastoletniego chłopaka. W rękach trzymał, jak broń, kolorowy plastikowy kijek.

Prowadzony głodem niczym ćma w stronę światła Sidday ruszył prosto na jedzenie bez pomysłu, jak wyprosić choć jedno jabłko.

– Jolka – powiedział i oblizał wargi.

– Cześć. Masz maskę? – od razu zapytał chłopak. Był o głowę niższy, o dwa lata młodszy i porządnie ubrany. Prawdopodobnie pochodził z rodziny rzemieślniczej, a takie z reguły dobrze potrafiły się usytuować w realiach Wielkiego Planu.

– Maskę? Dać maskę?
– Nooo... – przeciągnął dzieciak – gazową, taką na całą twarz – tłumaczył, rękami rysując w powietrzu obraz przedmiotu.
– Nie, nie gnieram. A kąd ci ratka? – zapytał Sidday, przyklejony wzrokiem do koszy z jedzeniem.
– Jak to, nie wiesz? Wybuch był i promieniowanie jest. Rodzicie mówili mi, że trzeba nosić maski, bo można się nawdychać tego, ale nikt nie ma masek.
– A to się ula? Ja uszyłem, że to przez mieto wchodzi.
– Jak przez skórę, to jeszcze gorzej – z przerażeniem stwierdził chłopak, sprawdzając, jak gruba jest jego koszula.
– Wramicie? – zapytał Sidday z drżącą ręką na jednym z koszy.
– No tak.
– A co z kucą?
– Zabieramy, ale też chyba jest napromieniowana.
– Ja obzam, czy jest wiga! – wykrzyczał podekscytowany Sidday, gotowy poświęcić zdrowie i życie, by przetestować jedzenie.
– No nie wiem. Muszę zapytać mamę – powiedział chłopak i niepewnie zerknął na otwarte drzwi do domu.
– Ale kąd, ona nie obta mi obzaić, a ja się nie straszę.
– No dobra, masz jabłko – ustąpił, podając mu pierwszy z brzegu owoc, w który przybysz wgrzył się jak lew w gardło ofiary, pochłaniając kolejne kęsy ze wstydem w oczach. – I co?
– Obzaję jeszcze bańkę i marchewki, obto? – zaproponował z pełnymi ustami Sidday. Nie czekając na odpowiedź, chwycił gruszkę i warzywo, a potem z łupem przy piersi zrobił krok w tył, kolejny, by z głupkowskim uśmiechem w końcu zawrócić i zacząć uciekać.
– Czekaj! Gdzie idziesz? – krzyknął dzieciak, ale przybysz już pognał, ścigany przez własny wstyd. – To jak teraz dowiem się, czy jedzenie jest napromieniowane? – zastanawiał się, znów samotnie stojąc na warcie wystawionego przed domem towaru.

Jak kamień na szyi, poczucie winy ciążyło Siddayowi. Jednak zło, do którego został zmuszony, nie mogło pociągać za sobą konsekwencji, bo przecież to natura wyznaczyła mu potrzeby i skrucającym żołądkiem nakazała działanie. Tak usprawiedliwiając sobie kradzież, pochłaniał jabłko i gruszkę na przemian, nie odczuwając prawie żadnego smaku, poza plastikowym i chemicznym połotem. Wszystkie owoce, genetycznie modyfikowane, sztucznie nawożone i hodowane na imitacjach drzew, były pozbawione soczystości i słodkości, o których uwielbiał opowiadać mu Henry. Słońce już od dawna skutecznie uniemożliwiałoby prawdziwą uprawę roślin. Bez laboratoryjnych, w panice wytworzonych i nie do końca sprawdzonych wynalazków rolnictwo zniknęłoby z powierzchni ziemi, a wraz z nim ludzkość.

Gdy Sidday zjadł, co ukradł, od razu poczuł się lepiej. Odzyskał siły, wiarę w swoją uczciwość i wolę, by ruszyć dalej. Choć nie wiedział, dokąd idzie, to sama podróż sprawiała mu ogromną przyjemność, której sam do końca nie rozumiał. Czy brak codziennej pracy, presji władz hali, agresji strażników i złośliwych kolegów był aż tyle wart, że głód i niepewność kolejnego dnia rozmywały się na marginesie drobnych niedogodności? Jak filozofowie, o których trochę słyszał od Henry'ego, chłopak rozmyślał nad tym dylematem, tracąc zupełnie zainteresowanie otaczającym go światem. Wciągnięty w podróż przez myśli, wnioski i kolejne zagadnienia, zaczął na głos zadawać sobie pytania.

– Czy w tych metropoliach, co cytrał mi Henry, też były druhy bez swojej hali dać ja, hulające bez wachty dać ja?

Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał. W ogóle nie myślał o tak nieprzydatnych miarą Wielkiego Planu rzeczach. Teraz jednak, jakby dopiero co otworzył oczy, zaczął dostrzegać pytania powiązane z codziennymi wydarzeniami, które od lat powtarzane nigdy nie budziły w nim wątpliwości. Nagle zapragnął zobaczyć te milionowe miasta z opowieści Henry'ego, budynki tnące chmury, niemal z magi płynącą technologię i niesamowity pośpiech na ulicach. Sam nigdy ich nie widział, bo całe życie spędził na prowincji, gdzie tylko hala i pola tarasowe zdradzały mu osiągnięcia cywilizacji człowieka.

Drez i Tynan z metropoliami nie miały nic wspólnego. Tutaj domy były z cegły i betonu, często pokrywane płytami z blachy i plastikiem, który służył jako główny materiał naprawczy. Pozatykane czym popadnie mury dziwiły oczy przypadkowymi kreacjami, czasami strasząc wystającymi prętami,

czasami bawiąc kolorowymi łatami. Budynki, jak na defiladzie, poustawiane w równych rzędach i odstępach, próbowały skupiać na sobie uwagę kształtami, od idealnych sześcianów po spiczaste trójkąty, fasadami z płyt lub chropowatego tynku i dachami w każdej możliwej formie. Ten kalejdoskop figur i formatów Sidday przekładał w wyobraźni na szkic metropolii, a jego rozpedzony dyskursem umysł gmatwał mu zadanie dziwnymi pytaniami o to, jak ludzie blachą mogli łątać sięgające chmur wieżowce.

Tak zamyślony i oddany przyjemnej kontemplacji, okrążył miasteczko, a z dobrego humoru wybiły go dopiero okropna suchość w ustach i głód. Te, jak strach przed samotnością, powracały niepostrzeżenie i nagle, rozbijając w pył z trudem budowaną wiarę w to, że wszystko będzie dobrze. Skupienie i ciągłość myśli w jednej chwili stały się nieosiągalne. Raz po raz rozpoczynane zdania pękały i jak uszkodzony film przeskakiwały wciąż w ten sam korytarz pragnień, by zjeść, coś wypić i odpocząć. Przez kilkadziesiąt minut Sidday sterczał w miejscu, przeliczając według własnego wzoru odległość, czas i energię potrzebne, by dotrzeć do rzeki za miastem. Uwzględnił nawet ryzyko skażenia wody, trafienia na złodziejskie szajki i zwykłego zagubienia. Alternatywą był powrót do wcześniej oszukanego chłopaka z wynikami porannego eksperymentu i potrzebą powtórzenia testu. Zawieszony w defektywnym procesie wyboru skręcił w przypadkową uliczkę, decydując się oddać decyzję w ręce losu.

Trafił na kolejną rodzinę pakującą dobytek do auta lub raczej bliżej niezidentyfikowanego pojazdu prowizorycznie naprawianego w nieskończoność, tak że kolejne blachy przykrywały inne, będące łatami wcześniejszych renowacji. Przez ponad pół godziny Sidday obserwował, jak cztery osoby, tworzące obcy mu społeczny konstrukt asocjacji genetycznej, wносиły walizki i pakowały je do samochodu, upychając wszystko na siłę i wzajemnie zmieniając położenie wciśniętych wcześniej bagaży. Gdy w końcu kłapa auta się zamknęła, koła zazgrzytały w ruchu, a silnik zarządził na pożegnanie, Sidday mógł skorzystać z otwartych na oścież drzwi do domu. Nie dając sobie szansy na wątpliwości, wpadł jak torpeda do środka, stając zaraz za progiem z szeroko otwartymi niebieskimi oczami.

To, co zobaczył, zaskoczyło go do tego stopnia, że przez chwilę chciał wyjść, myśląc, że przekroczył jakiś niewidzialny próg światów. Budynek wypełniały urządzenia w dziwacznych kształtach i o wyglądzie mechanicznych eksperymentów szalonego naukowca. Różne wyświetlacze, poukładane wielkością elektroniczne pudełeczka z wystającymi drutami, zwoje kabli, powykręcane rury, rurki, tuleje na półkach i setki metalowych drobiazgów wyglądały jak osobliwa muzealna wystawa sprzętu odrzuconego przy budowie okrętów.

Dom zachwycał jednak ponadczasowym i bezsprzecznym pięknem. Pracochłonne wykończenia muskały struny estetyki od urodzenia wpisane w każdą świadomą istotę, bez względu na poziom jej zrozumienia sztuki. Wszystkie krawędzie, parapety i uchwyty miały zdobienia, a sufit pokrywały precyzyjnie wyżłobione figury w kształcie zwierząt, splątane ciałami w ukropie zamrożonego w chwili ruchu. Każda lampa była inną kamienną figurką w armii nagich postaci pilnujących spokoju domostwa. Każdy róg przy suficie zarastał wyrytymi pnączami dawno wymarłych roślin.

Sidday przypomniał sobie kilka spotkań na kursie historii w przysposobieniówce, kiedy pokazano robotnikom serię krótkich filmów, gdzie z niepotrzebną agresją wyśmiewano marnotrawstwo, degenerację i rozpustę, jakie panowały przed Kryzysem Słonecznym. Dużo mówiono o wielkiej wojnie, zawsze w kontekście zasłużonej sobie przez upadłą cywilizację kary, ale nigdy nie pokazywano im pięknych, ówczesnych wystrojów domów. Z jakichś bliżej nieokreślonych przyczyn starożytna sztuka i estetyka trafiły na listę tematów zakazanych dyrektywą użyteczności dla Wielkiego Planu.

– O! – zawołał Sidday, odkładając w pamięci kolejny ciekawy wątek do rozważań, zaraz po tym, jak tylko pozbędzie się tego okropnego burczenia w brzuchu. Miał szczęście, uciekająca w pośpiechu rodzina zostawiła sporo jedzenia i choć dla nich były to resztki, dla niego stanowiły najlepszą kolację w życiu. Z werwą szarpał zębami kawałek starego chleba, porzuconego w kuchni na blacie, i wypił resztkę wody ze sporego baniaka. Z ciekawości zajrzał też do lodówki, gdzie jak we śnie czekała na niego miska sałatki ziemniaczanej. Podziękował mieszkańcom za ten hojny gest i wyjadł wszystko, oblizując na końcu palce. Jeszcze z pełną buzią trochę starych, ale i tak dobrych pomidorów, wybranych z koszyka na stole w jadalni, przeglądał szafki i odwiedzał kolejne pomieszczenia domu.

Oglądał każdą znalezione rzecz, niczym artefakt z życia rodziny, której on nigdy nie miał. Zaglądał wszędzie, nawet pod szafki podeksycytowane, najedzony, ale wciąż głodny nowych odkryć, jakby

dopiero co zrodził się z matki. Tak zaaferowany prowadził monolog myśli, wygłaszając go na głos w stronę wymagowanego przyjaciela, zawsze otwartego na nową dyskusję.

– Wreszcie mogę myśleć! – krzyknął, gdy zrozumiał prawdziwe znaczenie słów wymamrotanych poprzedniego wieczoru. Jak chęć życia po zaspokojeniu podstawowych potrzeb, wróciła do niego wiedza z językowych lekcji Henry’ego. Mieszając wielkomową z nowo poznaną terminologią, wypełniał kolejno odwiedzane pomieszczenia świeżymi przemyśleniami.

– Obto robić, co chcę, jechać w pola, mogę marzyć! – mówił, zatrzymując się w pokoju prawdopodobnie najmłodszego członka rodziny. – Ale dać mam marzenia? – zapytał nagle zafrasowany, siadając na jednym z miniaturowych plastikowych krzeseł. Zamyślony ugryzł ostatniego pomidora i dalej prowadził monolog wpatrzony w gołą, niebieską ścianę pomieszczenia. – Waram lecieć w kosmicę – stwierdził – tak, chcę golić Ziemię z kosmicy! – akcentując każde słowo, oznajmił światu i zaraz pobladł, bo z zasłyszanych historii w hali wiedział, że najbliższa baza kosmiczna jest w Welmond, ponad tysiąc kilometrów stąd. Może więcej, może mniej, a może zupełnie gdzie indziej, to było bez znaczenia, bo i tak nie potrafił przeliczyć tego na pojmowalną mu odległość.

Podrapał się po głowie, czując, że potrzebuje pilnie kąpieli, którą dodał do listy potrzeb.

– Jestem bezhalny. Nigdzie nie jest mi farowo – stwierdził dumnie. – Pohulam, to dobije – dodał i spostrzegł, że jest w zupełnie innym pokoju, a jego palce wędrują po spodniej krawędzi blatu nocnego stolika. Usłyszał pstryk i zamarł, żałując przez chwilę bezmyślnej zabawy w złodzieja. Niepewnie zajrzał do wysuwanej szufladki i odsunął lekko wystające dno, znajdując pod nim prawdziwy pistolet. Przeraził się i z trudem powstrzymał nogi przed ucieczką, która z reguły była odpowiednią reakcją na widok czarnej lufy wystającej z dłoni żołnierza DARPA.

Ostrożnie wyciągnął broń i zaczął ją oglądać, najpierw trzymając jak truciznę w dwóch palcach i z dala od twarzy, a potem pewniej chwytając za uchwyt i analizując z bliska wzrokiem. To był impulsowy, nowoczesny pistolet z identyfikacją odcisku dłoni, więc całkowicie bezużyteczny chłopakowi. Sidday pobawił się nim chwilę, pociągnął parę razy za spust, udając przy tym stłamszony świst wystrzału, potem postukał o ścianę i wyrzucił go do śmietnika, wychodząc z pokoju.

Resztę dnia spędził na skrupulatnym przeglądaniu pozostawionych przez rodzinę rzeczy i planowaniu swojej podróży do miasta Welmond, które tak, jak większość ludzi, znał tylko z jednego budynku: symbolicznej wielkiej wieży zniszczonej wybuchem podczas III wojny światowej. Noc spędził jak król na miękkim prawdziwym łóżku w największym pokoju zajętego domu.

Śnił o ubranych w robocze kombinezony manekinach bez twarzy. Stały w kącie pomieszczenia, przygotowane do wyrzucenia i tylko błyszcząca w ciemności bransoletka na ręce mężczyzny zdradzała, kim byli. Sidday nie pamiętał rodziców, poza popękkanymi skrawkami wspomnień zamkniętych w zapachach, które czasami uruchamiały lawinę znajomych emocji związanych z dzieciństwem. Taki efekt miała na przykład woń topniejącego wosku. Nie wiedział dlaczego i specjalnie nie chciał wracać do wyrwanych z kontekstu pamięci czasów. Sprzeczne obrazy, jak kamień w bucie, tylko drażniły niepotrzebnie jego codzienny spokój.

Obudził się, jak zwykle, głodny. Tym razem jednak na stoliku obok czekał na niego słoik pełen ogórków konserwowych, które znalazł jeszcze wczoraj w piwnicy. Wcinając śniadanie i beczynn timer leżąc w łóżku, podziwiał żłobiony gąszczem liści sufit i rozmyślał o tym, jak cudownie jest móc spać, ile dusza zapagnie. Nikt go nie poganiał, nie dzwonił po uszach alarmem i nie wyrwał krzykami z miękkiej pościeli. Miał czas na wszystko i by nic nie robić. Dopiero echo propagandowych filmów, które robotnicy w hali musieli regularnie oglądać, ku przestrodze i by z uśmiechem ruszać do pracy, poderwało go na nogi i popchnęło do łazienki.

Nie było wody, bo choć Drez leżało w zasięgu przepompowni hali, to ta zniknęła przecież pożarta przez wybuch. Sidday wzruszył ramionami. Wiedział, że gdy pozostawione w toalecie nieczystości zaczną cuchnąć, jego już dawno tu nie będzie. Obmył się tylko wodą pitną z baniaka i skorzystał z porzuconego przez rodzinę szamponu o zapachu cytryny. Tak bardzo go polubił, że wmasował całą garść płynu w kołnierz koszuli.

Na drugim piętrze domu wyjrzał jeszcze przez okno, za którym brunatne wrota piekieł stały w oddali, tak samo gęste i pełne błysków, jak wczoraj. Zbiegł na dół z plecakiem pełnym znalezionych fantów i wystrzelił przez drzwi, gotowy na podróż życia. Ze sobą wziął koc, resztę jedzenia, kuchenny nóż i biżuterię, którą znalazł porzuconą pod łóżkiem. Wiedział, że pewnie na nic się nie przyda, ale i tak ją spakował, bo od wczoraj piękno cenił nie mniej niż praktyczność.

Pulsujące Słońce grzało ostatkiem lata, a chłodny wiatr zapowiadał nadchodzącą jesień. W powietrzu było można wyczuć walkę dwóch skrajnych sił natury.

Niesiony przecuciem wielkiego spełnienia i pełny buzującej w środku energii, Sidday maszerował główną ulicą w stronę jedyne go przystanku autobusowego w mieście. Łatwo go rozpoznał, bo wokół niewielkiej tabliczki z napisem *Vesteren* zobaczył kilkadziesiąt osób strategicznie skumulowanych tak, by znaleźć się dokładnie tam, gdzie miał wkrótce stanąć stary, odzyskany ze złomowiska pojazd. Nikt do końca nie wiedział, kiedy autobus dotrze, czy dotrze i czy faktycznie zajędzie tam, gdzie dwie, grube kobiety obwarowane walizkami próbowały zapewnić sobie pierwszeństwo wejścia na pokład. Za nimi o miejsce walczył mężczyzna z dwójką dzieci kurczowo trzymających rękawy jego długiej, białej koszuli. Dalej kilka starszych panów z torbami pod pachami i w robotniczych czapkach na głowach obserwowało ulicę, skąd miał nadjechać lokalnie organizowany transport.

Sidday stanął z boku tej gromady, wyglądającej jak zbита na ogryzku jabłka kolonia cicho brzęczących na siebie much. Fascynowali go, bo z jednej strony szturchnięciami i wrogimi spojrzeniami walczyli o miejsce, z drugiej – przypominali mu jeńców wojennych z filmów historycznych, pozbawionych wiary w to, że ktokolwiek po nich kiedykolwiek przyjedzie. Nagłe dźwięki charczącego silnika i rytmiczne stukanie podwozia rozbudziło chmurę podróżnych. Magnetycznym wzrokiem przyciągali wybojami rozkołysany na horyzoncie autobus, który ostatecznie stanął nie tam, gdzie przewidywali. Jak starożytni żołnierze, ruszyli do ataku falangą, obwieszeni dobytkiem niczym zbroją, tupotem nóg wzbudzając tylko niepotrzebnie kurz. Sidday miał szczęście, bo drzwi pojazdu, z jękiem zmęczonego metalu, otworzyły się tuż przed jego nosem. Wskoczył z uśmiechem do środka i popłynął, jak na fali, pchany rozgrzaną ludzką masą. Ostatecznie wylądował na tylnej szybie, rozgnieciony jakąś strasznie napchaną walizką. Jak wszyscy pasażerowie, musiał stać, bo aby zyskać więcej przestrzeni, fotele wyrwano z podłogi, pozostawiając niezalātane dziury po śrubach.

Był koniec września i trwały ostatnie gorące dni, więc odór spoconych ludzi i starych warzyw wypełniał autobus, zapychając nozdrza chłopaka. Nie narzekał, bo wiedział, że wolność kosztuje, a marzenia nie realizują się same bez potu, dosłownie. Z twarzą wgniecioną w szybę oglądał długie ciągi betonowych murów, znad których wystawały gałęzie drzew owocowych. Patrzył na nieskończone puste pola i pojedyncze ruiny budynków, wyobrażając sobie, że to splądrowane zamki, porzucone przez dezercerującą, pod naporem wrogich wojsk, armię człowieka. Ćwicząc kreatywność i odporność na parną wilgoć trących cielsk, Sidday dotarł po trzech godzinach do *Vesteren*. To tu był jedyne w okolicy ogólnodostępny dworzec kolejowy. Zlepiona potem ludzka masa przelała się przez małe drzwi autobusu i natychmiast rozprysła na wszystkie strony, pozostawiając chłopaka w plamie potu na chodniku.

Przyzwyczajony do widoku ogromnej hali na środku pustkowie, Sidday stał otoczony zewsząd budynkami, które nie pozwalały spojrzeć dalej niż kilkadziesiąt metrów. Pod stopami miał lekko skruszony i pokryty gąszczem mikroskopijnych pęknięć interaktywny chodnik z białego szkła, specjalnego, niezwykle wytrzymałego materiału, który kiedyś, gdy jeszcze działał, wyświetlał przechodniom kierunki, ostrzeżenia, opisy zabytków, a nawet pogodę. Choć podłoga już od lat było nieczynne, zachwycało chłopaka niesamowitą elastycznością. Przy każdym kroku dawało wrażenie, jakby stąpał po gumowej wykładzinie w sali gimnastycznej, do której codziennie robotnicy w hali musieli chodzić na obowiązkowe, nudne ćwiczenia. Sidday słyszał, że podobna technologia jest stosowana na pokładach okrętów, ale nigdy jej nie widział.

– Kapiiry – przeklął z pogardą, myśląc o władzach hali, które próbowały go okraść z tak wspaniałego doświadczenia. Jego wzrok powędrował w stronę fasady dworca. To była wielka, ceglana i szpicem zakończona ściana z potężnym okrągłym witrażem, niczym ozdobnym diamentem. Chłopak płonął fascynacją, bo dobrze mu znane hale budowano z myślą o efektywności, oszczędności, użyteczności. Żadna ozdoba, zbędność, marnotrawstwo nie mogły przetrwać kontroli zarządców.

Tu natomiast budynki lśniły światłem i klarowną koncepcją. Choć pokrywało je zniszczenie lat, wciąż zdradzały piękno artystycznej ekspresji ich twórców, dla których forma, szczegół i precyzja były drogą do prawdy, doskonałości, dumy z własnej egzystencji. Sidday tego nie rozumiał, ale z przyjemnością podziwiał architektoniczny kunszt na zawsze wpisany w strukturę dworca. Pochłaniając wzrokiem i dotykiem każdy detal historycznej budowli, wszedł na peron. Jego szklana kopuła, połączona z frontem grubymi, metalowymi łukami, wbitymi w wejście jak pazury i

rozchodzącymi się niczym sieć pajęcza pod sufitem, nie robiła już na nim takiego wrażenia. Samo przejście cegły w stal, a potem płynnie w szkło uważał natomiast za świetnie zaplanowane.

Sidday nawet nie próbował zrozumieć informacji wyświetlanych na głównej tablicy w holu. Natłok cyfr i liczb przyprawiał go o zawrót głowy. Choć znał alfabet i przerobił z Henrym dwie chude książki, to wciąż czytanie sprawiało mu problemy. Rozejrzył się więc po otwartej przestrzeni i ruszył w stronę człowieka, którego mundur zdradzał, że jest pracownikiem dworca.

– Do Welmond dać mobil hula? – zapytał, szarpiąc go za granatowy rękaw z dwoma, wypolerowanymi guzikami.

Mężczyzna spojrzął z pogardą w dół, dokładnie oglądając czternastoletniego chłopaka.

– A gdzie twoja grupa? – odparł, zabierając rękę.

– Nie gnieram. Uganiam mobila do Welmond. Jest dać?

– Uganiasz co? – zdziwił się pracownik, wpatrzony w lewe przedramię Siddaya, na którym lśniły trzy blade, długie i równoległe blizny. – A co ci się stało w rękę?

– Upsa kicnąłem. Co ci do tego?

– Wygląda, jakby ci to jakiś tygrys poszarpał.

– Mobil do Welmond! – nalegał Sidday i kroił wzrokiem wścibskiego pracownika na kawałki.

– A masz chociaż kartę robotniczą?

– Nie.

– No to do pociągu nie wejdiesz, wracaj do domu.

– Nie mam domu – odparł Sidday.

– A gdzie pracujesz?

– Jestem bezhalny.

– Bezhalny? Czyli nie pracujesz – stwierdził z zadowoleniem donosiciela mężczyzna i chwycił chłopaka za ramię, drugą ręką machając w stronę patrolu DARPA, który nieopodal zaczepił jakąś dziewczynę.

Na widok żołnierzy Sidday spanikował. Najpierw szarpał się bezskutecznie, a gdy zrozumiał, że tak nic nie działo, kopnął pracownika dworca w krocze i czmychnął, gdy ten jęczał z bólu. Zanim jednak odzyskał wolność, poczuł szarpnięcie za plecak i usłyszał deszcz spadających na posadzkę koralu ze znalezionej w Drez biżuterii.

– Złodziej! Złodziej! – krzyczał ktoś za nim.

– Nie jestem kapirem! – zawołał Sidday, wybiegając z budynku. Pognał przez plac slalomem między ludźmi i wpadł prosto do parku, gdzie zdyszany, zamroczony opadł z sił i legł w czarnej ziemi. Otoczony ogołoconą z życia glebą, na której niewielkie kępy traw i niskich krzewów wyglądały jak wyspy na czarnym oceanie, przeklinał siebie i swoją głupotę, bo w jednej chwili stracił wszystko, co miał, łącznie z energią użytą na bezproduktywny bieg. Był jednak zbyt zmęczony, by nękać głowę złością. Szybko odpuścił, oddając uwagę luźnym rozważaniom i zwijając się w kłębek pośród wyżłobionych kołysek niegdyś pięknych drzew.

Myślał o ruinach miasta i zagładzie parku jak dwóch ofiarach toczonych między ludźmi a naturą wojny. Rozsypane budynki i strawione próchnem rośliny kładły się trupem w śmiertelnym dla obu stron pojedynku. Ze strumienia wynurzeń Sidday wyłowił zapamiętane słowa Henry'ego, nareszcie chwytając ich sens, jak rybę za ogon. „W dniu, w którym ukończymy wszystkie te okręty, nie będzie już niczego wartościowego, czym można by je wypełnić” powiedział mu podczas jednej z partii rozgrywanych z nim szachów. Wraz z tym olśnieniem, jak w tandemie, zza chwili roztargnienia wyłonił się strach, przenikając razem z potem podkoszulek chłopaka i pęczniąc łękiem w jego wciąż dudniącym sercu.

Przez kolejną godzinę Sidday zwalczał fale niepokoju, aż nagła kumulacja mobilizujących myśli poderwała go i popchnęła z powrotem. Tym razem ostrożnie obszedł dworzec szerokim łukiem i wszedł na tory przez dziurę w ogrodzeniu. Nie miał pojęcia jednak, do którego pociągu wsiąść, więc zdezorientowany chodził wkoło, ostrożnie przeskakując szyny, aż usłyszał znajome z hali, żywiołowe dyskusje o bitych rekordach w składaniu paneli. Przyciągany sentymentem trafił przed wagon pełen chłopaków ubranych w szerokie robotnicze spodnie, łudzaco podobne do tego, jakie on sam nosił.

– Jola – powiedział, podnosząc dłoń na znak przywitania. – Wać hula ten mobil?

– A ty co? Lidek? – odpowiedział jeden z chłopaków, rozśmieszając grupę.

– Taki lidek, a nie jarzy wać hula życzy mobil! – ktoś dopełnił żartu.

– Ty sać jesteś? – zapytał inny robotnik z opaską kapitana drużyny na ramieniu.

– Ja z Tynan – przyznał Sidday, a słowem jak tornadem przygnał do wejścia wagonu siedzących z tyłu chłopaków, którzy też chcieli spojrzeć na robotnika ocalałego z katastrofy.

– To tam rusnęło? Dać wyrales? – jednym głosem zapytała gromada ciekawskich twarzy.

– Nie było mnie w hali.

– A ty nie jesteś napuskany może?

– Nie, blata nie – burknął Sidday, wystraszony reakcją dzieciaków, które nagle skurczyły się w wagonie wessane strachem. – To jarzycie mobila do Welmond? – szybko zapytał, robiąc już pierwszy krok w tył.

– Tamten – rzekł, jak rozkazem wygnania, kapitan drużyny i wskazał palcem pociąg kilka torowisk dalej.

– Dzięki – mruknął Sidday i pobiegł, przegoniony okrutnymi spojrzeniami. Nie przejmował się nimi długo, bo kilka dni samodzielności zmieniły go, dodały mu lat i pozwoliły inaczej patrzeć na świat. Traktował odtrącenie jak rewers cennej monety, podatek od zysku, konieczny koszt wolności.

Dumny z wyciągniętych wniosków, Sidday wskoczył do wskazanego mu wagonu, usiadł w rogu i otoczony pustymi skrzyniami cierpliwie czekał. Jego oczy jak mrówki wędrowały po odbarwionych i zardzewiałych ścianach, aż znalazły wyryty ostrzem napis na drzwiach. Z trudem i powoli składając litery, chłopak wydukał go na głos: *Połowa dotrze do celu, połowa w ciepłe odpocznie. Połowa zagra ponownie, połowa przegra już dziś.* Nie zrozumiał przesłania, a winą za to szybko obarczył swoje braki w edukacji, które przez kolejne cztery godziny postoju zajmowały mu myśli. W końcu spragniony, głodny, zmęczony poczuł szarpnięcie i prawie natychmiast zasnął, kołysany do snu jednobarwnymi drganiem i monotonnym dudnieniem pracujących kół.

Śnił o wielkiej flocie przemierzającej kosmos i o pokładach okrętu flagowego „Santlite 75”, którego był kapitanem. W jego rękach spoczywała nadzieja ludzkości, wielka odpowiedzialność i potęga dział zdolnych zetrzeć małą, niebieską planetę w kosmiczny pył. Spoglądał przez okno i ważył losy świata, kompilując argumenty za i przeciw ocaleniu cywilizacji mizernego człowieka, zastanawiając się, skąd dobiega okropny smród znany mu z wysypisk śmieci. Otworzył oczy i w mroku trwającej nocy dostrzegł dwóch mężczyzn. Ich sylwetki nakreślał blask księżycy wpadający do wagonu przez otwarte drzwi. Odór znoszonych, przyklejonych brudem do ciała ciuchów zdradził mu kim byli.

– Dokąd jedziesz, młody? – zapytał pierwszy z bezdomnych. Ochryłym, skrzekliwym głosem drapał boleśnie bębniaki w uszach, a alkoholowym wyziewem wyciskał z oczu łzy.

– Welmond – wymamrotał Sidday, wpatrując się w czarną, bezzębną otchłań otwartych ust postaci.

Mężczyźni ryknęli zwierzęcym śmiechem niemal jednocześnie i jak zsynchronizowani wypili po łyku białego płynu w plastikowych butelkach, kurczowo ściskanych oblepionymi brudem łapami.

– Gnieracie dać picie? – poprosił chłopak, pragnieniem niwelując obrzydzenie.

– Co? – zapytał drugi z bezdomnych. – Chcesz pić? Ja mam coś do picia – powiedział i wyszczerzył poźółkłe zęby, rozpinając pasek od spodni.

Pijacy zarechotali wspólnie, piszcząc jak zarzynane prosiaki. Potem skoczyli na chłopaka i przygnietli go okropnym odorem i ciężkimi od brudu kurtkami, ale byli zbyt mocno upojeni, by utrzymać go w miejscu. Sidday łatwo się wyrwał i stanął przy otwartych drzwiach wagonu, łapczywie chwytając w płuca świeże, nocne powietrze.

– Nie skacz, połamiesz się chłopcze – powiedział mężczyzna z rozpiętymi spodniami. Dumnie prezentował gąszcz owłosienia skrywający obrzydliwe genitalia.

– Lepiej zostań z nami, będzie ci tu dobrze – zachęcał drugi bezdomny, robiąc krok w stronę Siddaya – albo w sumie skacz, bo ten pociąg i tak nie jedzie do Welmond – dodał i zaskrzeczał śmiechem wiedźmy, wspierany przez kolegę chichotem hieny.

Mając nad głową niebo pełne gwiazd, za plecami chłodny wiatr i gdzieś konsekwencje, Sidday puścił drzwi, znikając w mroku nocy i zostawiając rozczarowanych mężczyzn. Bezdomni wzruszyli ramionami i znów, jak sprzężone ze sobą maszyny, łyknęli alkoholu, a potem zniknęli w kącie wagonu, zapadając niemal w zimowy sen i przyjmując formę kamiennych bezosobowych figur.

Słońce zrodziło się z ziemi nowym dniem, by towarzyszyć chłopakowi w podróży przez jałowe, polne pustkowia, miejscami przekłute ostrzami martwych, połamanych drzew. Odrobinę kulejąc po upadku, Sidday snuł nierówne kroki, idąc w przeciwnym kierunku do jazdy pociągu, z którego wyskoczył. Wzrokiem wodził własne stopy, odnotowując w myślach kształty mijanych kamieni,

woląc ich przewidywalną naturę od widoku nieskończonych płaszczyzn zagłady i zatracenia, wróżących długą przed nim wędrówkę. Tylko porzucona przez ludzi winda kosmiczna, wysoka niemal do mezosfery, przecinała na horyzoncie niebo cienką linią, niczym nitką zwisającą z niewidocznego stropu Ziemi.

Budowla stała w Doniesku, to chłopak wiedział, ale w żaden sposób mu to nie pomagało, bo ogromny, pionowy słup był widoczny w przejrzyste dni jak ten w całej wschodniej Europie. Ta stercząca od lat trzydziestych ruina upamiętniała jedną z trzech prób zbudowania windy zdolnej wynosić materiały na orbitę bez udziału okrętów. Niestety ciężar marzeń Wielkiego Planu okazał się zbyt wielki i wieża w Doniesku, jak pozostałe, runęła, pękając tuż przed pięćdziesiątym kilometrem. Mimo katastrofy i ponad dwudziestu lat od spektakularnego upadku wciąż pozostawała najwyższą budowlą na świecie. Dla Siddaya rekord ten był mizernym pocieszeniem w obliczu nieprzemierzonej jeszcze przestrzeni i widma noclegu na polu bez jedzenia i wody, za której parę kropli dałby wszystko, gdyby tylko cokolwiek miał.

– Kąd mi wolność, dać mam tu kichnąć – jęknął, złorzecząc światu, i opadł bez sił na przydrożny głąz. Wpatrzony bezmyślnie w grunt pod stopami, odtwarzał mimowolnie codzienną rutynę hali, w tym nielubiane mrożne z rana prysznic, teraz spływające słodkim chłodem wspomnienia po rozgrzanym Słońcem karku. W końcu jego uwagę zwróciła nienaturalna mozaika w piachu, którą umysł skorelował z wzorem śladu opon i konceptem przejeżdżającego tędy niedawno pojazdu.

Nie zważając na ból puchnącej kostki, Sidday podążył za tropem, pochłaniając wyrzeźbioną przez koła fakturę jak sztukę i wersy bardzo ciekawej książki. Nie był w stanie skupić już myśli, dlatego po cichu liczył kolejne sekwencje pulsującego Słońca i zanim dobił do tysiąca, jego oczom ukazał się mały domek na środku czarnego, gołego pola. Przytrzymując go wzrokiem w rzeczywistości, jakby chwila nieuwagi mogła sprawić, że zniknie, zaczął biec do mety wyznaczonej drzwiami budynku. Co chwilę przystawał, zamroczony, zdyszany, czując, że ciało odmawia mu już posłuszeństwa, ale z wolna krok znów zamieniał na pęd, by w końcu załomotać we wrota do rajów lub piekła. Z twarzą przyklejoną do starych, spróchniałych desek, nasłuchiwał rozkosznych dźwięków krokami wyginanej w środku podłogi. Pisk zawiasów wzniecił w nim nadzieję, niemal przystawiając już do spierzchłych ust dzban pełen ukojenia.

– Czego? – powiedział chropowaty, męski głos, uosobiony tylko pomarszczonym nosem wystającym z rozchylonej szczeliny.

– Wody, proszę. Ja już nie wigam – zajęczał Sidday i jak przeciąg próbował wcisnąć się do środka.

– Nie mam, idź stąd – zaszczeakał starzec i trzasnął drzwiami, a łomot skruszył dopiero co wskrzeszoną przez chłopaka nadzieję.

To był jego limit, granica starań, apogeum słabości i ostatnia łza, którą zgubił wpatrzony w bezkres pola. Łkał cicho, oszczędnie, szukając sensu, by ruszyć stopą i zrobić kolejny krok. Upadł, bo ktoś go pchnął, a potem jeszcze szarpał, kopał i poganiał. A on smakował piachu w spękanych ustach, czując, jak ciałem wtapia się w łono natury, rozkłada w ziemi, cząstka po cząstce wraca do idei wiecznego w bezładzie trwania. Coś go poderwało, zrywając zapuszczone już korzenie, i cisnęło w plecy jakimś wąskim, niewygodnym przedmiotem. Nakręcony nim, jak zabawka sprężyną poruszana, Sidday zaczął maszerować przed siebie, aż natrafił na jedyny w okolicy pień wiekowego drzewa, które cudem ocalało z holokaustu zmian słonecznych. Liści na nim próżno było jednak szukać. Z dłońmi na starszej niż on sam korze chłopak osunął się i padł na kolana w akcie przeprosin, błagań, kompletnego zmęczenia.

Tak unizony, oddany, wbijał palce w popękana fakturę konającej rośliny, pod opuszkami czując nierówne żłobienia ludzką ręką wykonane. Wryty napis, niczym komenda wrzucona w maszynę, uruchomił umysł chłopaka, każąc mu składać litery, budować zdania, na głos odtworzyć pozostawioną przez kogoś wiadomość. – *O zielony świecie, nie porzucaj mnie teraz, sprowadź mnie z powrotem do upadłego miasta, gdzie jest ktoś wciąż żywy* – przeczytał i uśmiechnął się, bo tym razem zrozumiał.

Ktoś przed nim odbył tę podróż i tak jak on zwątpił w tym samym miejscu i w podobnym wieku, bo pod napisem wrył jeszcze liczbę piętnaście, jakby to nie imię, a liczba lat wyznaczała odwagę wędrowca. Z dumy silnego pokolenia Sidday zrobił zbroję, a z wiary w ocalenie jedyne przyjaciela niewidzialny hełm, na który spadła kropla wody, przelatując całe jego ciało zimnym dreszczem.

Na widok ciężkiej nad nim chmury parsknął śmiechem. Złożył dłonie w kielich i biegł wokół drzewa w mistycznym obrzędzie. Kolejna kropla uderzyła go w czoło, jak złośliwy pstryczek, a potem następna w policzek i zrozumiał, że gdy człowiek zawiódł, natura była dla niego łaskawa. Z otwartymi

ustami wznosił ku niebu jęki wdzięczności za każdą minutę, gdy deszcz się nasilał. Ocalony, za cierpliwość nagrodzony, zdecydował, że tu spędzi resztę dnia z jedynym żywym drzewem w okolicy, wiadomością od przyjaciela, którego nigdy nie widział, i chłodną, kojącą zmęczone stopy ziemią. Mżawka trwała chwilę, a wieczór przyszedł szybko, zabierając zwiniętego w kłębek dzieciaka w senną podróż po galaktyce na czele wielkiej floty okrętów poszukujących nowego, lepszego świata.

Rankiem obudził się wycieńczony, jakby zamiast spać, całą noc biegał, a gdy tylko wstał, poczuł palący ból sztywnej i spuchniętej kostki. Był przemarznięty, roztrzęsiony, głodny, spragniony i znów obcy na jałowym pustkowiu. Wczorajsze, emocjonalne przywiązanie do miejsca dziś dręczyło go tylko kuriozalnym posmakiem w suchych ustach, a gwałtowna radość z deszczu trąciła szaleństwem wycieńzonego organizmu. Bez namysłu ruszył przed siebie, byle nie stać w miejscu, byle nie ugrząść w wilgotnej ziemi, by nie pozwolić obojętności zabrać sobie ostatniej szansy ratunku.

Szedł jakąś ubitą drogą, oczami szurając po piachu, ignorując zaplątaną w nogi wyschniętą trawę. Pochylony, coraz bardziej zgarbiony, na przemian zwalniał i przyspieszał, w transie oddany monotonii mijanych metrów. Prowadziła go pustka w głowie i wyuczone ruchy mięśni nóg. Nie zważając na błoto, zgubił kierunek i wpadł w pole pokryte plamami czarnej ziemi. Zahaczył o coś i upadł, lądując na ludzkich gołych stopach.

Jak kot odskoczył i najeżył odruchowo grzbiet, przez długi czas nie mogąc się zdecydować, czy uciekać, czy walczyć. W końcu zrozumiał, że przed nim leżą niegroźne, acz obrzydliwe zwłoki mężczyzny ubranego w czarne spodnie i rozszarpaną, białą, krótką koszulę. Zwrócone twarzą do ziemi ciało w połowie zgniłe, przebarwione, w połowie błyszczało dziwną, metaliczną, ale zaimpregnowaną fakturą.

Sidday widział już kilka trupów, ale nigdy tak zdeformowanych i zadrzał na myśl, że odkrył szczątki obcej istoty, kosmity, zabitego jakąś straszną bronią, która rozerwała mu pierś. Nie widział jej, ale wystające spod ciała flaki sugerowały obrzydliwą masakrę. Najpierw odsunął się gotowy uciec, ale potem podszedł bliżej, by przeszukać mężczyznę. Wsadził dłoń w jedną jego kieszeń i spanikował, bo poczuł twarde jak stal udo. To nie był człowiek, choć kształtem go przypominał. Walcząc z rozhułaną wyobraźnią, która wbrew jego woli budowała okropne scenariusze, chłopak wsadził dłoń w drugą kieszeń i poczuł mały okrągły przedmiot. Wyciągnął go i dokładnie obejrzał.

Metalowa kapsułka, zdobiona motywem liści, zamknięta i z łańcuszkiem, nie zdradzała swojego przeznaczenia. Nie dało się jej też otworzyć, choć wyraźnie była zrobiona z dwóch połączonych części. Sidday schował amulet z nadzieją, że jeśli dotrze do jakiejś cywilizacji, to zamieni go na żywność, a potem zawrócił w stronę drogi, z której zboczył, nie patrząc już na makabryczną scenę. Choć próbował nie myśleć o swoim odkryciu, to obrazy, jak natrętne owady, pełzyły mu do głowy i wybuchały okropnymi pomysłami, do tego stopnia napełniając lękiem, że jeszcze długo później odwracał się za siebie sprawdzając, czy nikt go nie śledzi.

Przez kolejną godzinę zdążył zbudować kilkanaście wersji wydarzeń, jakie mogły doprowadzić do śmierci mężczyzny, a z budowania kolejnego scenariusza wyrwał go dopiero pejzaż setek równo ustawionych drzew gęsto obwieszonych ciemnoczerwonymi jabłkami. Z otwartymi ustami i wyciągniętymi przed siebie rękoma, jak pociąg parł w ich stronę, a zatrzymał go dopiero wysoki płot, który w pierwszej myśli Sidday zamierzał pokonać skokiem lub staranować ciałem. Te agresywne intencje chłopaka szybko stępiła jednak mała tabliczka, ledwo dostrzegalna, lecz dobrze mu znana.

Biała dłoń i piorun na żółtym tle oznaczały wysokie napięcie. Cofnął się i przeklął twórców tej przeszkody, obdzierając ich w wyobraźni ze skóry. Podniósł kamień i rzucił nim z całych sił w ogrodzenie, które odpowiedziało iskrami i migającą lampą na jednym ze słupków. Chłopak szybko znalazł drugi, większy głaz, z jękiem wynosząc go nad głowę, ale zanim zdążył wziąć zamach, usłyszał jakieś wołanie.

– Hej! Co robisz! – krzyczał biegnący w jego stronę mężczyzna. Ubrany był w czarny mundur, ale nie należał do DARPA. – Nie rzucaj, bo zaraz żołnierze się zjadą i będzie problem – ostrzegwał zdyszany krótkim sprintem.

– To twój sad? – zapytał Sidday.

– Nie, no jak. Ja tu tylko dbam o drzewa.

– Mogę tam hulnąć? Jestem bardzo puchny.

– Nie no, rozliczają mnie dokładnie z towaru – tłumaczył mężczyzna. – Poza tym kamery są. Nie mogę ci pomóc. Przykro mi – stwierdził z miną ofiary i zastygł w oczekiwaniu na reakcję chłopaka.

Sidday postraszył go chwilą ciszy i zabójczym spojrzeniem, a potem próbował zamachnąć się wciąż trzymanym nad głową kamieniem.

– Co ty? Głupi jesteś? Idź stąd! – rozkazał strażnik, chwycił wychudzoną rękę dzieciaka i bez trudu cisnął nim o ziemię.

– Ale ja ciurzę czegoś napić, coś zgryźć!

– Mówiłem ci, że tu dokładnie pilnują kto wchodzi i wychodzi. Wracaj na swoją halę.

– Ale ja ciurzę, ja muszę! – błagał Sidday, leżąc na ziemi i szukając słów, które strażnik zrozumie.

– Jak tak bardzo chcesz pić, to tam jest staw – powiedział mężczyzna i wskazał palcem kierunek. – Z tym, że nie wiem, czy jest bezpieczny. Może być, nie sprawdzałem.

Chłopak odwrócił głowę, ale nie dostrzegł żadnej wody.

– Larzesz, jak zwali – stwierdził, próbując splunąć śliną, której nie miał.

– Jak nie chcesz, nie musisz mi wierzyć. Tylko nie dotykaj płotu, bo trupów mi tu nie potrzeba.

– Kacan – zaklął Sidday i przeczołgał się parę metrów, jak żółw, ociążał drapiąc pazurami ziemię. Potem wstał nienawistą wspierany, ale nie do strażnika, a do ludzkości w ogóle. Majaczył. – Kiram pasy, kiram was zwali. Za halę, za Henry'ego, za zwał! Jesteście źli, widni, kichnijcie, nie waram was, luznął bym was! Kichnął! – zapętlął zmęczeniem słowa, do momentu aż nie został oślepiony błyszczącą w Słońcu taflą jeziora.

Choć nogi odmawiały mu posłuszeństwa, zaczął biec przed siebie, wpadając po pas do wody i pozwalając lodowatym dreszczom spaść mięśnie boleśnie przyjemnym orzeźwieniem. Łapczywie pił i zanurzał się głębiej, nie dbając o to, czy staw jest skażony, czy nie, bo był pewny, że natura nie skrzywdzi go, nie teraz, kiedy tak bardzo jej potrzebuje. Zapelniając chłodem brzuch, Sidday stłumił głód, a potem legł na brzegu i jak kwiat rozkwitł myślami.

– Pasy są źli, zwali tak samo. Nie obta im wiaryć, bo tylko larzą i wartują życzy. A ja wachtałem tyle czasu i kąd? Oni hulną w kosmice, a mnie wybiją. To jest... to jest... – szukał w pamięci odpowiednich słów, które przepadły gdzieś w otchłani zaniedbania.

A przecież Henry uczył go tylu wspaniałych wyrazów, zdolnych wyrazić tak wiele duszonych w sobie emocji. Karcił się za tę słabość, ale rozumiał, gdzie leży wina. W hali nikt nie wymagał od nich posiadania rozbudowanego słownictwa, wręcz przeciwnie, brutalnie tępiono każdy przejaw zbytej elokwencji. Dlatego teraz, jak uczeń wypchnięty bez przygotowania na forum klasy, musiał za pomocą skromnego zasobu wiedzy formować rzucane światu oskarżenia. – To niesprawiedliwe – w końcu rzekł, wyciągając ze zbitej masy bezużytecznych technicznych pojęć to najcenniejsze. – Natura jest buczna – stwierdził, prowadząc sam sobie panel dyskusyjny na plaży jeziora. – To ona dała mi wodę i kucę, a pasy ją okolili płotami. Gono? Gono wachtam im statki tylko za kucę? – Wstał z ziemi, by z oddali spojrzeć z wrogością na błyszczące w Słońcu ogrodzenie, które odcinało go chciwością władz od zielonej wyspy owocowych drzew. Natchniony nienawistą, żądny zemsty za całe wyrządzone mu zło chwycił najbliższy kamień, schował go za plecami i ruszył prosto do strażniczej budki.

Nie skradał się, nie musiał, mężczyzna siedział w środku wpatrzony w mały ekranik, na którym postać w białej masce i czarnym, okrągłym kapeluszu przemawiała z dziwnym akcentem i przerysowaną gestykulacją. Sidday stanął przy niewielkim okienku i razem z ochroniarzem oglądał film, zbyt zmęczony, by podjąć jakąkolwiek decyzję. Buzująca w nim złość prysła, a magia obrazu skupiła całą jego uwagę na bohaterze z wiecznym uśmiechem, zdolnym pobić gołymi rękoma uzbrojoną szajkę mężczyzn.

– Znowu ty! – krzyknął ochroniarz, gdy w końcu zorientował się, kto za nim stoi. Podskoczył przerażony wychudzoną, jak marmur bladą i nieprzenikalną twarzą. Przy okazji zasłaniał ze wstydu ekran swoim ciałem.

– Wać siedle? – zapytał Sidday, czując, jak trzymany za plecami kamień ciągnie go w dół.

– Co?

– Miasto, gdzie.

– Tam – odpowiedział mężczyzna i pokazał palcem kierunek.

– A będzie far mobil do Welmond?

– Jeśli masz na myśli pociąg, to tak. A czego szukasz w Welmond?

– Dziękuję – powiedział Sidday i upuścił kamień, który uderzając o ziemię, zwrócił uwagę strażnika. Potem ruszył we wskazaną stronę tak jak wcześniej, ze spuszczoną głową, wlekąc za sobą nogi, ale z dziwnym uśmiechem na twarzy.

Był pewniejszy siebie, odważniejszy, dojrzałszy. Porzucił dawną skórę, zamieniając ją na twardszą. Myśli znad jeziora rozbrzmiewały mu w głowie, kłębiąc się w piecu wewnętrznej dyskusji, z której powoli wyławiał szlachetne słowa, idee i wnioski, niczym metale spiekane razem w jego pierwszy, doskonały światopogląd. Przeszedł trzy kilometry gotowy przebyć ich znacznie więcej, napędzany kielkującym w głowie lasem pomysłów, ale zatrzymał go płot, stary, poszarpany i pełen dziur. Za nim granicę cywilizacji wyznaczały kilkupiętrowe, betonowe i porzucone bloki, znów przypominające chłopakowi skruszone atakami mury zamków. Tym razem jednak to one stały po stronie zła. Przytłoczony ich cieniem, czując na sobie wzrok zamierzchłych czasów, Sidday spojrział wzdłuż ulicy, która wylaniała się spod otaczającego metropolię pustkowia. Czterema błyszczącymi, ale chropowatymi pasami zapraszała w głąb siedliska potępnego człowieka.

Droga, otoczona najpierw pustynną armią natury, potem stróżującymi wjazdu blokami, w końcu pękła na kilka odnóg rozproszonych między kolejnymi skupiskami budynków. Sidday ruszył środkową arterią, poszukując dworca lub torów, mijając zgliszcza, wysypiska i góry gruzu wyglądające jak cementarzyska poległych w wielkiej bitwie betonowych żołnierzy.

Ogromna, doszczętnie rozebrana hala wybiła się ponad ten krajobraz obłożonej linii obrony, bo jej szkielet wyrastał z ziemi niczym żebra z klatki piersiowej gigantycznego, powalonego w walce monstrum. Obok tego rumowiska stały nowe osiedla domków, opuszczone, splądrowane, ale wciąż dostojne i kojące oczy dawną architektoniczną estetyką, ale to nie one przyciągały uwagę chłopaka. Bardziej fascynowała go powracająca na te tereny natura. Wszędzie wyrastała trawa, budynki przykrywała jakaś winorośl, a w paru miejscach Sidday zauważył siedliska dzikich zwierząt.

Życie walczyło z zazartością, o jakiej sam mógł tylko marzyć. Pokonane w wojnie, pokryte nienaturalnie bujną zielenią dzielnice, doskonale obrazowały wcześniejsze jego myśli, dając przykład tego, że nadzieja zawsze się odradza, nawet jeśli to tylko kropla w oceanie smutku. Łącząc te spostrzeżenia, chłopak skonstruował szlifowaną przez całą drogę i podpartą słowami wyciągniętymi z nauk Henry'ego własną życiową dewizę. Był z niej dumny, jak z pobicia rekordu w składaniu paneli, nawet bardziej, bo nie rękami ją zbudował, ale doświadczeniem.

– Natura nie jest dobra ani zła, ona po prostu jest. Kto z nią walczy, ginie, a kto ją zrozumie, poradzi sobie – głośno wyrecytował. Na świadków wziął z wolna rozsypujące się wieżowce, kruszone przez wiatr i wodę, a potem ścierane w pył i pochłaniane przez ziemię.

Gdy w końcu dotarł do zamieszkałej części miasta, inaczej już patrzył na utrzymywane przez ludzi rudery i łatanie rozpaczą ruiny. Wyśmiewał naprawiane, jak w Drez, plastikiem budynki, dziury zatykane szmatami, ściany podpierane żelaznymi belkami i pokrywane farbą wyłomy w murach. Nawet on rozumiał, że walka z czasem jest bezsensowna.

Jego krytykę bezmyślnej cywilizacji przerwało burczenie w brzuchu, wywołane widokiem punktu wydawania żywności schowanego w jednym z bloków, który zachował już tylko trzy piętra. Wystające pod niebo kolumny zdradzały, że kiedyś poziomów było znacznie więcej, i choć budynek został ścięty czasem, jak toporem, i obwarowany gruzem, to dla mieszkańców dzielnicy stanowił najważniejsze miejsce w okolicy.

Sidday nie miał zamiaru prosić o jedzenie, o nie, nie tym razem. Zmądrzał i wiedział dokładnie, co musi zrobić. Zaczął się przy rogu ulicy i cierpliwie czekał na odpowiednią ofiarę. Los ją wybrał, a słabość wskazała. Pochylona do ziemi starsza kobieta wyszła z punktu wydawania żywności, w rękach, tuż przy piersi, trzymając dwa bochenki chleba. Podzieliła kilka ukłonów między strzegących budynku żołnierzy DARPA, a potem ruszyła przez drogę, nogami powłócząc bardziej niż Sidday. Chłopak poszedł za nią, wyczekał na okazję i z rozpędu wpadł na kobietę, niby przypadkiem ją wywracając. Przerażony dźwiękiem jak szkło pękających kości i okropnymi jękami zwiniętej w kłębek staruszki, najpierw przeprosił, a potem zaczął wyszarpywać jej chleb.

– No ruskaj! Bo cię kichnę, zryta! – krzyknął. W końcu wyrwał ponad połowę bochenka i bez namysłu rzucił się do ucieczki. Na plecach czuł zdzierające skórę nieszczesne błagania, by oddał, co ukradł. Jednak nie zawrócił, nawet nie zwolnił, choć ze skomlenia kobiety zrozumiał, że jedzenie było przeznaczone dla jakichś dzieci. Głód usprawiedliwiał wszystko, a smak pieczywa w ustach koił wstyd.

Kilka kęsów dało chłopakowi energii, by wznowić podróż w kierunku gęstniejącej sieci budynków, wśród których poszukiwał tego najistotniejszego dla miasta. Rozsądek nie zawiódł go. Ogromna fasada dworca, podobna do tej w Vesteren, jak zadoścuczynienie za wszelkie zło, wyrosła na wielkim, wolnym od ruin placu.

Tym razem Sidday nie pytał nikogo o rozkład jazdy, tego też już zdążył się nauczyć, i sam znalazł odpowiedni pociąg, podsłuchując rozgadanych robotników. Gdy był pewny wyboru, wskoczył do otwartego luku bagażowego, lądując na grubej warstwie szarych worków, w których tkwiły robotnicze ciuchy, obuwie i czasami jakiś prywatny drobiazg. Sidday też posiadał w hali taki wór z wydrukowanym indywidualnym numerem, jaki w zasadzie nie miał znaczenia, bo i tak wszystkie spodnie i buty szły za duże. Przypadkowa podmiana bagażu nic nie zmieniała. Schowany przed wzrokiem strażników zamykających wagony, chłopak wstrzymał oddech i zamarł do momentu, aż pociąg ruszył z miejsca. Znow był w drodze, najedzony, odrobinę dojrzały i coraz bliżej celu.

Głośny pisk kół obudził Siddaya. Wyrwany nagle ze snu zaczął walczyć z torbami, które w sennym majaczeniu przypominały watahę chcących go rozszarpać wilków. Zanim pociąg stanął, chłopak zdołał zaprzeć się dobrze nogami o podłogę, by wystrzelić jak pocisk, gdy strażnicy otworzą luk. Liczył na to, że będą zbyt zszokowani jego widokiem, a on sam szybko zniknie w tłumie transferowanych chłopaków.

Długo czekał, gotowy do skoku, ale zamiast zobaczyć światło dnia, usłyszał dobrze mu znany, równy i ciężki tupot stóp. Wyrzał przez szparę pod zawiasem w drzwiach i choć niewiele mógł dostrzec, to czarne, w równych odstępach migające mundury rozpoznałby wszędzie na świecie. Dobrze uzbrojone i liczne siły DARPA zacieśniały kordon wokół wylewającej się z wagonów masy robotników, prowadzonych jak po sznurku w stronę wielkich metalowych bram. To nie był dworzec, a na pewno nie Welmond, być może stacja transferowa, ale Sidday nie miał jak tego sprawdzić. Zanim zdążył dobrze się przyjrzeć, pociąg ruszył, zabierając jego i bagaże w dalszą podróż. Nie rozumiał biegu wydarzeń, dlaczego rzeczy zostały razem z nim w luku i dokąd teraz zmierza. Zduszony ścianami, nogami brodząc w rozkopanym cementarzysku porzuconych worków, chwycił w płuca powiewy ciepłego powietrza zza drzwi i walczył, by w ryzach utrzymać goniącą szybciej niż sam pociąg panikę.

W bitwie z samym sobą spędził niemal godzinę, po której głośny pisk kół oznajmił koniec trasy, ale nie galopującego w jego głowie prerażenia. Sidday był gotów rzucić się z pięściami na każdego, kto otworzyłby drzwi, nawet pluton egzekucyjny, na pewno już na zewnątrz przeładowujący broń. Spocony i rozgrzany duchotą zamkniętego pomieszczenia chłopak obserwował zawiasy i czekał, ale znow światło nie chciało wypełnić wagonu. Kompletna cisza doprowadzała go do szału. Jak zwierzę zaczął kopać metalową bramę, nie myśląc wcale o konsekwencjach, a potem barkiem w nią napierał i walił pięściami, aż w końcu zrozumiał w nagłym przyływie rozsądku, że wystarczy ją tylko przesunąć.

Rozbawiony głupim błędem wyrzał zza drzwi, a następnie wyskoczył na platformę i z bolesnym jękiem wywrócił się, wciąż czując spuchniętą kostkę. Wstał trochę zawstydzony, otrząpiał podartą koszulę i jak gdyby nic, ruszył przed siebie. Trafił na jakiś duży dworzec, ale boczną jego część, tuż przy wylocie na otwartą przestrzeń pól. Idąc wzdłuż torów, ominął wysokie płoty, obszedł cały teren i zaniemówił.

Nigdy wcześniej nie widział tak wielu, tak dużych budynków w jednym miejscu. Zgromadzone wokół siebie wieżowce, jakby skumulowane ogromną masą, zdominowały horyzont miasta, definiując jego centrum własnym natłokiem. Chłopak stał przez chwilę, porażony widokiem i przepełniony wiarą, że dotarł wreszcie do celu. Chciał krzyknąć z radości, ale długa podróż, pragnienie, pusty brzuch i wciąż doskwierający upał przygasiły jego zapał.

Ruszył przed siebie, jak dziecko pochłaniając wszystko co nowe, a ulice same go prowadziły, kierując prosto do serca tej metropolii, niczym arterie, którymi krew może podążać tylko w jedną stronę. Tu też opuszczone dzielnice straszyły przyjezdnych, ale te szybko ustąpiły miejsca wciąż żywej części miasta, pełnej ludzi, porządnie odremontowanych budynków i dróg, gdzie nadal poruszały się auta. Czarne, masywne pojazdy, z pewnością opancerzone i należące do władz, przecinały pokruszone jezdnie, ignorując dziury i wyrwy dzięki technologii płynnych kół, pozwalającej komfortowo podróżować dygnitarzom między kolejnymi miejscami rozpusty.

Otoczony betonem, labiryntem ścian, błyszczącymi w Słońcu konstrukcjami, Sidday skurczył się jak jego żołądek i szybko przesycił natłokiem bodźców, bo gdziekolwiek spojrzeł, kolejne szczegóły przykuwały wzrok. Idąc, trafił na rozsypaną kamienicę, powaloną zapewne niegdyś zbłąkanym pociskiem, odgradzoną, ale nigdy nie odbudowaną. Jej kamienie, jak wnętrzności zasypały mlecznobiałą, półprzezroczystą ścieżkę rowerową, której nikt już nie używał. Nad głową chłopak

widział równie transparentne tunele dla pieszych, także puste i popękane, bo cały ruch sprowadzono na ulice zabieganej metropolii.

Mrówczy pęd oszołomił go światem niespójnym z monotematycznym i małomiasteczkowym spokojem, jaki towarzyszył mu przez całe życie. Skręcił w jedną z bocznych ulic w poszukiwaniu ukojenia i lepszej perspektywy, a gdy znalazł drabinę przy ścianie opuszczonej dawno temu poczty, skorzystał z okazji i wspinał się na dach. Natychmiast dostrzegł to, czego od początku szukał: symbol miasta, miejsce zakończenia III wojny światowej, znaną mu z opowieści wieżę w Welmond. Wreszcie dotarł do celu.

Jak przywódca wielkiej armii, lider narodów, Sidday stał na szczycie zdobytego budynku, dumnie wpatrzony w ciągnące ulicami szeregi żołnierzy, pracowników Wielkiego Planu, ludzką maszynę, która wkrótce zrealizuje jego marzenie o locie w kosmos. Teraz jednak musiał zadbać o podstawowe potrzeby, bo głód i pragnienie stały mu murem na drodze do celu. Już bez obaw i lęku, traktując tłumy jak naturalne środowisko miasta, ruszył w poszukiwaniu miejsca dla siebie. Polegał na przeczuciu, rozsądku, wierze, że został stworzony do czegoś większego, co w Welmond było mu pisane.

Szybko wywęszył odpowiedni punkt dystrybucji żywności w jednej ze starych dzielnic i tak, jak wcześniej, zaplanował atak, wyczekując ofiary za rogiem ulicy. Długo jednak nie mógł nikogo namierzyć, więc zrobił sobie przerwę, by przyjrzeć się budynkowi, który nieopodal łamał harmonię podobnych ruin. Choć w połowie rozsypany, wciąż intrygował symbolem wielkiej gwiazdy wyrzeźbionej na głównej ścianie. Jego żółta fasada z głębokimi, poprzecznymi żłobieniami na całej wysokości i drobiazgowo dekorowanymi łukami, które kiedyś mieściły okna, zafascynowały chłopaka. Budowla, oprócz tego, że musiała doznać sporych szkód podczas wojny i później, gdy nikt o nią nie dbał, była gęsto porośnięta pnączami. Każdą szczelinę i pęknięcie w murze wypełniała zieleń, jednocześnie podtrzymując konstrukcję i krusząc ją, ratując i zabijając. Natchniony widokiem Sidday otworzył nowy rozdział swoich rozważań.

– Natura zawsze wygrywa, a my nadal gresimy przeciw niej – głośno stwierdził, wystraszony widokiem cienia obcej za plecami osoby.

– Na co tak patrzysz? – zapytał damski, miły głos.

– Na to – odpowiedział chłopak i wskazał palcem ruiny. – Co to za buda?

– To, co nazywasz budą – odezwała się kobieta, trochę niezadowolona z doboru słów chłopaka – to kiedyś była synagoga – wyjaśniła.

– A co to?

– A widzisz, mało kto to wie, a ja wciąż pamiętam. Kiedyś, jak byłam mała, bawiłam się tutaj prawie codziennie. Już wtedy budynek był w ruinie, ale dużo słyszałam historii z nim związanych. Synagoga, jeśli chcesz wiedzieć, to święte miejsce dla Żydów, taki budynek do modlitw.

– Mira mi – stwierdził Sidday, trochę zagubiony w jej wyjaśnieniu.

– Strasznie chudy jesteś. Chcesz coś do jedzenia? – zapytała kobieta. – Mam kanapki. Chętnie oddam ci parę – zaproponowała, grzebiąc w swojej wielkiej zawieszanej na ramieniu torbie. – Gdzieś tu powinny być. Ja i tak nie mogę ich wnieść do fabryki i zawsze oddaję je dzieciakom na placu – powiedziała, zaglądając do otchłani bezdennego bagażu. – O mam. Dziś zrobiłam z...

– Ja nie ciurzę – z dumą rzekł Sidday. – Sparuję kucę sam. Nie trzeba – mówił, gestem drżącej i niepewnej ręki odmawiając pomocy.

– Nie rozumiem, nie chcesz?

– Nie.

– Naprawdę? – zapytała kobieta, trzymając w powietrzu kanapkę. – Dobrze, jak wolisz – stwierdziła po chwili, schowała z powrotem jedzenie do torby i z matczyną delikatnością pogłaskała dzieciaka po głowie, darząc go życzliwym uśmiechem. – Bądź zdrow – dodała i poszła w swoją stronę, zostawiając chłopaka wpatrzonego w fasadę ruiny.

Sidday wiedział, że dziś spędzi tutaj noc, nawet jeśli nie jest to najlepsze miejsce. Pewny swojej decyzji i szczęśliwy ruszył w stronę punktu dystrybucji żywności, gdzie jakiś starszy mężczyzna o kulach próbował jedną ręką wcisnąć bochenek chleba do torby.